

Wychodzi w każdą

Sobotę.

Cena prenumeracyjna

w całej Austrii:

rocznie 8 złr.—półrocznie

4 złr.—kwartalnie 2 złr.

w Niemczech:

rocznie 5 tal.—półrocznie

2 tal. 15 sgr. kwartalnie

1 tal. 8 sgr.

we Francji:

rocznie 21 fr.—półrocznie

11 fr.—kwartalnie 6 fr.

Numer pojedynczy 20 ct.

Redakcja: Ulica

wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne agencje: we
Lwowie księgarnia K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Zupańskiego.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadsełanie Redak-
cyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Treść: O satyrykach polskich XVII wieku, studium literackie przez Dr. Adama Belcikowskiego. (C. d.) — Pod krzyżem, przez Maksymiliana Zdulskiego (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasu. (C. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. (C. d.) — Męczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. (C. d.) — Kronika artystyczna wiedeńska, przez Nino. — Przegląd teatralny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studium literackie

przez

Dr. Adama Belcikowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Andrzej Rysiński.

Za panowania Władysława IV, niewiadomo w którym roku, wyszła niewielka broszura p. t. „Satyr polski na twarz dworską,” gdzie pod dedykacją Dobiesławowi Cieklińskiemu podpisał się jako autor And. Rysiński.

Zwykle w historii literatury na wiarę kogoś, co się rzeczy bliżej nie przyjrzał, podawano tę satyrę za pierwsze wydanie drugiej p. t.: „Satyr na twarz Rpltej. w r. 1640.” Być może, iż rzadkość tych Satyrów stała się przyczyną błędu, albowiem drugi z powodu widocznej przychylności dla Lutrów, a niezbyt przyzwolitych wyrażen o duchowieństwie był niszczone. Rzecz się ma jednak inaczej. Pierwszy Satyr jest tylko krytyką na zwyczaje dworskie, na górny animusz, intrygi wzajemne i rozrzutne życie dworaków—co już sam tytuł powinien był pokazać. Drugi zaś maluje ujemne strony całego społeczeństwa, wady w rządzie, zbytki rozmaitych stanów itp. Podobieństwo pomiędzy nimi zachodzi tylko co do formy naśladowanej z Kochanowskiego, bo w obu wprowadzeni są na scenę satyrowie przemawiający do czytelnika.

W takim więc razie trudno wyrzec z taką pewnością, jak to dotąd czyniono, że autorem drugiego Satyra jest także Rysiński. Przemawia jednak za tem pewna analogia między oboma pismami i przyrzeczenie, którego się należy domysleć ze słów Satyra dworskiego, że autor i o ogólnym stanie Rpltej pisać zamierza. Tym sposobem satyry te byłyby dopełnieniem się wzajemnem, nie są zaś jedną i tą samą.

„Satyr polski na twarz dworską” mniej zasługuje na uwagę z powodu swej obojętniejszej treści; ważniejszym nierównie jest drugi. Powiedzieliśmy, że formy pożyczyl sobie autor od Kochanowskiego; był to zresztą sposób pisania satyr bardzo upowszechniony. Co do treści zaś ustaje wszelkie podobieństwo z Kochanowskim.

Rysiński idzie dalej tym torem, na który wszedł już był Klonowicz, zaprawiając swe słowa nie attyką, solą ale goryczą żółci. Pod tym względem stoi on na równi z Opalińskim i tem tylko różni się od niego, że nie tak szczegółowo wystawił wszystkie stany i wszelkie stosunki życia. Inne czasy innych też miały poetów niż szczęśliwsze wieki Zygmuntońskie, gdzie złe chociaż nie-raz już widoczne, zasługiwało tylko na łagodniejsze napomnienie albo karcone było rubasznym humorem Reja.

Na samym wstępie autor mający już w głowie cały pomur obraz, jaki o obyczajach i przywarach swych ziomków nakreślić zamierzał, zastanawia się nad sobą i pyta:

Mówić mam czy zamilczeć?...

To jedno, krótkie pytanie pozwala nam odrazu domysleć się zatrzważającej treści — przeczuwamy ją już na pierwsze wejrzenie. Autor jednak dla miłości prawdy i pożytku swych ziomków nie cofa się od swego zamiaru, gotów nawet drogo przypłacić swoją szczerość:

Prawdy jednak nie myślę ustępować kroku,

Choćby mi i nadstawić przyszło dla niej boku

I głowę z szyją rozwiesić.....

Uwagę jego zwraca naprzód na siebie sejm, od którego dobroci w podobnym jak Rplta polska społeczeństwie, zależała pomyślność i byt całego kraju. W sejmie widzi prywatę przeważającą nad dobrem ogólnem, brak zdrowej i życzliwej rady, próżne trwonienie czasu na czczych oracyach i gadaninach, niesforność i upór przy swem zdaniu, który prowadzi do rokoszów i zrywania sejmów:

.....Cóż, czy i pełni

Nie mówimy gębami, że czasem samemi

Rusząmy i murami i Izba jak w wrzawie,
A wszystko o wolnościach i o praw poprawie?
Dawnoż one Rokosze drudzy pamiętamy,
Dawno już to po dwakroć sejmy rozrywamy,
I czasem tak w fakcyach rugujem się sami,
Że roznosić na szablach, że się i oknami
Zrzucić chcemy? A tylko jakobyśmy cali
Pieśczoneą tę swobodę swą ukołysali.

Wytyka potem dalsze wady w zarządzie Rpltej:
niepłacenie żołdu wojsku, kupowanie urzędów i cudzo-
ziemczyznę, która wygnała z obyczajów dawną prostotę,
a z serca szczerość i wzajemną ufność. Tą cudzoziem-
czyzną dwór królewski się zaraził, biorąc ją za modłę
swych zwyczajów i moralności.

Siła było i innych mów pomiędzy nami
O tej dworskiej ślizkości, jako personami
Niegodnymi koronne stołki zasadzone,
Cudzoziemcy pokoje jak trzcina natknięte,
I nikt się do prezentu i choru nie zgodzi,
Tylko kto po francusku, kto po włosku chodzi.

Pełno tam pochlebców i owych polityków, którzy
przejeli się zasadą Machiawela:

To jest myśl mieć wesołą, czoło otworzone,
Oczy jasne każdemu a serce zamknięte;
Albo gdzieś i z Owena *) umieć upatrować
Oko pańskie i cerę i akkomodować
Zgoła mu się we wszystkim.....

Następnie powstaje na sprzedajność sądów, szcze-
gólnie zaś w ohydny sposób małuje deputatów na try-
bunał lubelski. Trybunał ten często spotykały podobne,
widać zasłużone zarzuty. Rysiński odsłania rozmaite
sposoby, nieraz najniemoralniejsze, jakich się chwyтали
klienci dla zjednania sobie przychylnych głosów depu-
tatów:

Prosząc naprzód na bankiet z paniami pospołu,
Gdzie przy winie gorącym u strojnego stołu
W znajomości zachodzą i braterstwa nowe,
Spore na to kielichy pełniać kryształowe.
Tamże słuszność spraw swoich za każdą podaną
Rozwodzą, okazują, ani nie ustają,
Aż wszystkich na nieswoich nogach rozprowadzą.
Choć czasem i drugiego na Tureczka **) wsadzą,
Co nigdy się nie wróci: drugiego polano
Że polewką umyślnie, ***) aż za to posłano
Rysią mu ferezyą. Drugim, księży zwłaszcza,
Nie żaden wstyd po trzeźwu upomnieć się płaszcza,
Drugim poszła to wódek, to Piotrkowskich krupek
Na złocistych miednicach, choć się tych skorupiek
Nie upomni na wieki. Drugim podrzucają
Konwie srebrne i czary, a choć się gniewają
I chcą w rzeczy wyrzucać, przecie pod oknami
Rzadko gdzie ich znajdują. A jeśli nie sami,
Nie pogardzą przynajmniej panie Deputatki.

Używali klienci jeszcze i innych niegodziwskich
środków, przywołując deputatom swoje córki i żony...
A Rysiński musiał prawdę powiedzieć, bo oskarża ich
o toż samo i późniejszy o sto lat satyryk Antoni Po-
niński. (Sarmaticus seu Satyrae.)

Postawiwszy tym sposobem występki publicznego
życia pod przegierz, wiele grzechów znajduje autor

*) Sławny autor epigramatów.

**) Na konia tureckiego, który potem zostaje przy deputacie
dla zjednania sobie głosu.

***) Szyk słów taki: że (ponieważ) polano umyślnie polewką.

i w prywatnem. Zaczyna od kobiet. Gani przyjmowanie
stroju cudzoziemskiego, na który sadzą się nawet chude
szlachcianki. Mężatkom wyrzuca pokątne miłostki, mat-
kom złe wychowanie i zły przykład dawany córkom,
które od najpierwszej młodości nabierają smaku do za-
kazanego owocu, słuchając chętnie mów nieprzyzwoitych
i wdając się w tajemne rozmowy z męską młodzieżą.
U mężczyzn powstaje na powszechną i długo za naro-
dową prawie uważaną wadę, tj. na zbytki w bankietach
i pijatykach:

Że na jednym bankiecie dział z ojczyzny wszytek
Pożre drugi, i na co krwawy pot wytłoczy
Z czoła Ociec, on oraz marnie to roztoczy,
I uleje pawiment w rynsztok Małmazya,
Jakoby gdzie Tokaje albo miał Kandya.
Kuchnia śmierdzi perfumy cynamonowemi,
Gdzie tylko zwierzynami na zuchwał samemi
Od jeleni i łosi zastawione stoły:
Tychli nie masz, to w octach całe czasem woly
Kruszą winnych. Z cukrów zaś, faryn i migdałów,
O! jakich tam nie robią dziwnych specyałów,
Gdy nietylko bażanty i strusy i pawie
I co lata po wietrze i chodzi po trawie,
Ale morskie baleny, foki i delfiny,
I inne tam formują nagie Meluzyny.

Chłoszcze także i przeciwną wadę, tj. sknerstwo
i chciwość, o co najczęściej dygnitarzy kościelnych obwi-
nia, powiadając, że spędzają żywot na próżniactwie
i bawią się lichwą.

W ogóle obraz tego czasu o dwa przeszło wieki od
nas oddalonego, a w którym my widzimy zwykle samą
prostotę, prawdość sumienia i moralność, w ponurych
barwach został odmalowany przez Rysińskiego, tak że
mimowoli powiedzieć sobie musimy: *tout comme chez
nous!* Jednakowoż Rysiński naszkicował go tylko pier-
wszymi liniami — wykończył go zaś z całą dosadnością
i jaskrawością kolorów w niewiele lat po nim wojewoda
poznajski

Krzysztof Opaliński.

Opaliński pochodził z rodziny starożytnej od XII
już wieku zapisywanej na kartach historii, ale nadto
odznaczającej się często gruntownem wykształceniem,
dobrą głową i miłośnictwem nauk. Takim był Łukasz
Opaliński, młodszy brat Krzysztofa, o którym mówiłem
wyżej, takim stryj ich Jan, „wielki miłośnik i tłumacz
Tacyta“, po śmierci ojca opiekun Krzysztofa od 14 roku
jego życia. Sam Krzysztof odebrał wyższe wykształcenie
za granicą, zwiedził Włochy, a uczył się szczególnie
w Lowanium, gdzie już stosunki z uczonymi ludźmi za-
wiązał. Powróciwszy do kraju, mając mało co więcej
nad lat dwadzieścia, przemawiał często na sejmikach,
a zawsze „uczenie i śmiało.“ W dwudziestym ósmym
roku życia został już wojewodą poznańskim i w tym to
czasie pisze o nim Ks. Albrecht Radziwiłł w swym
pamiętniku, iż dał się słyszeć „Wojewoda poznański
Opaliński, pierwszy raz zasiadłszy krzesło senator-
skie, w wymownej ale przesadnej i za oklaskiem go-
niącej mowie.“ Opaliński występował w opozycji prze-
ciw królowi Władysławowi IV i ztąd jedną sobie wziętość
między szlachtą. Niedługo tylko czas w 1645 r., gdy jeździł
w poselstwie do Francji po Maryę Ludwikę, zostawał
w lepszych z dworem stosunkach. Pogorszyły się one
stanowczo ze śmiercią Władysława IV. Jan Kazimierz
został na tron po nim obrany, Opaliński zaś wszelkimi
siłami pragnął wyjednać koronę dla jego brata księcia
Karola. Cofnął się zatem zupełnie od życia publicznego

i w tym czasie r. 1649 tuż po pokoju Zborowskim (bo wspomina o nim w satyrach), siedząc w swym Sierakowie zdala od dworu oddał się zajęciu literackiemu. Owocem tego *otium* obrażonego magnata, były „Satyry albo przestrogi do naprawy rządów i obyczajów w Polsce należące,” wydane po raz pierwszy w r. 1650 bezmianem i bez miejsca druku. W innych wydaniach (a było wszystkich siedm czy ośm) zmieniono tytuł Satyr nazywając je to „Iuvenalis redivivus” to „Icon animorum albo Zwierciadło.” Późniejsze wydania, a mianowicie z r. 1698 są gorsze i niezupełne, bo opuszczono w nich satyry na duchowieństwo.

Pięć ksiąg satyr można, co do ich treści, podzielić na trzy rodzaje. Pierwszy, w którym przedstawione są ujemne strony życia prywatnego; drugi, który roztrząsa stan Rpltej., wytykając wady prawodawstwa i rządu; trzeci wreszcie tworzą rozprawy moralne w kształcie listów pouczających. Ostatni rodzaj z natury swojej najmniej zasługuje na naszą uwagę i bezwątpienia jest najslabszą częścią satyr, bo w nim nie miał autor sposobności rozwinięcia swego daru spostrzegawczego i plastyczności obrazów. W tych to satyrach rozbiera on takie np. zdania moralne, jak: zadowolenie z losu, cnota czyni szczęśliwym, mądry nie zważa na zdania gminu i t. p.

Obfitsze daleko w treść i bez porównania wyższej wartości są dwa inne rodzaje. W czterdziestu przeszło satyrach (bo pierwszy rozdział zaledwie ich pięć lub sześć liczy) karci Opaliński najrozmaitsze wady i występki wszystkich prawie stanów, czyli one czynią ujmę naturze, czy też przynoszą szkodę krajowi. Zła edukacja dzieci, zbytki i zepsucie kobiet i mężczyzn, fałszywe nabożeń-

stwo lub oziębłość w wierze, lenistwo, samochwalstwo, pyszne nieuctwo, obmowcy, młódz wyrodna lub marnotrawiąca spuściznę po ojcach: oto przedmioty jego satyr kreślących życie prywatne. W ten sam szczegółowy sposób wystawione i sprawy publiczne. Są tu satyry: na bezkrólewie, na niesprawiedliwe rozdzielanie urzędów, na przeniewierstwo grosza publicznego, na brak obrony krajowej, na niekarność wojska, na powszechne pijaństwo i t. p.

W tych obszernych ramach wypowiedział Opaliński tyle złego o swych współziomkach, ile nigdy ani przedtem ani potem od nikogo nie usłyszeli. Odmówił on swemu wiekowi wszelkich cnót moralnych i politycznych, tak że mamy przed sobą obraz zepsucia i upadku, jak równego szukać tylko można w Perzyszu lub Juwenalu, poetach w zgniliznę i rozkład przechodzącego starożytnego świata. Wrażenie z jego satyr tem silniejszy odnosi skutek, że autor nie złagodził ostrej i przerażającej nieraz treści zewnętrznej nawet formą. Jest ona szorstką i nieokrzesaną — a pominąwszy nawet brak rymu, który poezji nadaje wdzięk i harmonię, w wierszu Opalińskiego nie widać żadnych innych znamion sztuki i artystycznego obrobienia rzeczy. Posiada on tylko jeden przymiot poetyczny, mianowicie plastyczność przedstawienia do wysokiego posunięcia stopnia. Plastyczność ta przypomina silny język Rejowski. Wszystkie postacie wprowadzane na scenę są pełne ruchu i życia — znać że ich obraz brany z rzeczywistości i schwycony na gorącym uczynku. Dlatego również nie czujemy, aby Opaliński miał najmniejszą chęć ich zidealizowania — nakreślone są one w całej swej nagości, z rubasnością właściwą charakterowi poziomych istot, a nieraz z całym ich cynizmem. (C. d. n.)

POD KRZYŻEM.

Życia drogą bieży dziecię
Zrazu raczo i wesoło,
Bo w około — bo w około
Pełno kwiatów — pełno woni
Młoda duszę poi, ludzi,
Bo zachodem i o świcie,
Gdy zasypia, gdy się budzi —
Piosnka szczęścia i swobody
Nad kołyską jemu dzwoni
I maluje mu jagody
W barwę wiosny — w uśmiech złoty.
Śród igraszki i pieszczoty
Coraz prędzej, coraz śmielej,
I rozkoszniej i weselej
Spiesz puste i szczęśliwe
Na szeroką życia niwę.

Biegną chwile — a po wiosnie
Mija wiosna znowu druga,
Wstęga dni się snuje druga
Coraz spieszniej — coraz dalej!
A na złudnej szczęścia fali
Dziecię-człowiek w ranku życia
Tak ochoczo, tak radośnie,
Śród żywego serca bicia,
Z pieśnią szczęścia i uśmiechem
Pośród marzeń, pośród szatów,
Rzewnych uczuć ideałów,
Z wolnem sercem i oddechem
Spiesz dalej, zawsze dalej!

Toż w młodzińczej jego duszy
Jasny promień cichej cnoty,
Czystej wiary promień złoty
I miłości wdzięk jedyny
Odzwierciadla się czarownie.
A gdy struny on porusza
Z barwnej złudzeń tych krainy,
Pieszczotliwe, czyste dźwięki
Z pod natchnionej płyną ręki

Tak rozkosznie, tak wymownie;
Echo miły rozdźwięk niesie
Po dolinie i po lesie,
Drży i cichnie — i umilka...
Ach! on prawie równo z echem
Gorzkim kończy pieśń uśmiechem!
Takie szczęście dla ziemiana
Mgnienie oka — jedna chwilka,
Bo z polysku ledwo znana
Życia wiosna już i minie,
Wdzięczna nuta w dal upłynie
I uciehnie i przedzwieczy,
Czarująca barwa tęczy
Młodej wiary, młodych marzeń
Pierwszych uczuć, pierwszych wrażeń
Rychło zblednie, posmutnieje —
Pociemnieją wnet nadzieje.
Lśniące blaskiem te bławaty,
Te wiosenne życia kwiaty
Wyrzucone z złudzeń szali —
Hej! bezbarwne — powiedniałe
Na burzliwą padną fale,
Znikną w ciemnych głębiach fali,
Szczęście z nimi pójdzie całe!

Bo nie ostać mu już w chacie!
Już nie cieszy go tam wcale,
Bo już ciasna — swojska strzecha
I powszednie — te postacie
I dziecinna — ta uciecha,
Co barwiła mu wiek młody.
Tam — w dalekiej obcej stronie
Inne szczęście, inne światy
I piękniejsze tam przygody,
W mężką rozkosz kraj bogaty,
Tam — do czynu rwą się dłonie!

O niebaczny! ledwo rzucił
Ciasne wioski swej granice,
Jakoś dziwnie się zasmucił

I przygasił mu źrenice
I schmurzyło młode czoło.
Zniknął urok! żal i trwoga
Wiedzie cichą myśl do Boga,
Podniósł oczy, lecz u góry
Zawisł obłok tam ponury —
Głucha przestrzeń legła w koło,
Dziko jakoś porośnięta.
Jakby martwa — jak zakłeta,
Jakby cmentarz zażawiona.
Kędy trwożnie sięgnie oko
Ciemne ścieżki, błędne drogi
Śród przepaści gdzieś się wloka,
Stope ostre rania głogi,
Jakaś obca szpetna ręka
Śród dzikiego tam chaosu
Wznosi w górę się do ciosu!
A tam zdradna dłoń znów goni,
Jakieś drzące blade cienie
Gaszą światła mu promienie.

Takaż straszna ta piosenka
I ten uśmiech co miał z nieba,
Że aż krwawej trzeba broni?
Takiż groźne te nadzieje
I to szczęście, co się śmieje
Że aż zabić je potrzeba?!

Oj młodzieńcze! wracaj z drogi
W twą dolinę do potoka,
Macierz zklute zgoi nogi
I zcaluje trwogę z oka,
Będziesz myślał, że to we śnie,
Na twej cichej spocznieś grzędzie,
Będziesz śpiewał swoje pieśni,
Dziewczę pieśni słuchać będzie;
A gdy z wiejskiej was wieźcy
Dzwonek zwoła do pacierza,
To wymodlisz przy dziewicy
Wasze szczęście tam u krzyża
I wyblagasz pokój ducha.

O zapóźno! on nie słucha —
Urok dziki, jakby czary
W te go błędne ciągnie jary,
Jakiś tajny głos go woła —
Chwilkę jeszcze w sercu waży
Myślą przebić rad zasłonę,
Co rozpięta tam do koła,
Widok śmiła mu zawily;
W dłoni całą moc gromadzi:
Czy też dosyć będzie siły,
Czy też siła go nie zdradzi
Jeżli walczyć mu się zdarzy?
Czy do walki starczy meztwa
I nadziei do zwycięstwa?
Stój pachole, wstrzymaj kroku!
Bo bezsilna dłoń ściśnięta
I twa wola — chociaż święta!
Krew Ci światło zmaci w oku.
I głos ciężkie zdusi łkanie
I tchu w piersiach ci nie stanie!!

Mam odchylić ci zasłonę?
Patrz młodzieńcze tu — w tę stronę:
Na północy — na zachodzie
Krwawe łuny tam się ściela,
Sterty kości tam się biela,
Czarne dymy w niebo bija,
Okrutników głosy wyją —
Pada krwawo ród po rodzie,
Ród po rodzie strasznie kona!

A tam drugi widok czeka:
Patrz! za mglistą tam pomoką
Coraz jaśniej choć zdaleka
W pogrzebowej odzian szacie
Krzyż wyciąga swe ramiona.
Czy poznajesz młody bracie
Postać krzyża tę wysoką?

Krzyż ów — wiernych niegdyś znamie,
Dziś odarty ze świętości
Nie zagrzewa wiatrych meztwa!
Patrz, jak podle tylko ramie,
Skroń bezwstydną, pierś kamienna,
W jad szatańskiej silna złości
Wiedzie dzisiaj do zwycięstwa.

Tam, gdzie uczył się pacierza,
Ciche modły Panu świecił,
Dziś tam przepaść jest bezdenna,
Gad plugawy się określił
U stóp świętych Twego krzyża,
Jadem w koło groźnie siaga
I modlitwie Twej uraga.
O! krzyż ten nad ziemię cała
I nad wszystkie niebios tęczę
I nad morza przestrzeń biała
I nad szczyty gór się piętrzy;
A krzyż ten jest dla człowieka
Nie wiem — kara czy zastuga,
Bo doń każdy ścieżką długą
Krwawych cierpień się przywleka.
Na tym krzyżu się przybija
Wiosna życia i marzenia,
Te uczucia i zapaly —
Sny młodości — ideały,
Krzyża tego nikt nie mija
Bez boleści, bez omdlenia!
Płaczesz dziecko? ach nie bluźnij,
To nie koniec — ujrzyś później!
Myślisz — krzywdą tylko Tobie?
Patrz! za Twoją jakąś małą,
Co na krzyżu tam została!
Żal za lubą Ci piosenką?
Słuchaj dziecko ty z zagrody,
Oto w czarnej patrz żalobie
Legły całe tu — narody.
I Twój naród tu przybity
Już wiekową kona męką,
A tu męki jego godło!...

Biedny! stanął w chyżym locie,
W piersiach nagle go ubodło,
Skronie w zimnym skapał pocie
Błędem okiem w niebo wryty!
— Wielki Boże! hymny Tobie,
Com w tak cudne spajał dźwięki,
Ha! i puste te piosenki —
Toż śpiewałem je na grobie?!
O nieszczęsny! prochy święte
I to całe moje plemię
Jam wyszydzał pieśnią moją,
A to niebo tam rozpięte
Nie zapadło się na ziemię
I ja jeszcze tutaj stoje?!
I te z piekieł tam szatany
Co się ludzkiej krwi napity,
Te kaimy jeszcze stoja,
Kują ludy Twe w kajdany,
Zemsty Twojej się nie boja
A pioruny straszne Twoje
Podłych czaszek nie rozbiły? —
Biedny omdlał w chyżym biegu
Tam pod krzyżem i do koła
Darmo patrzy — darmo woła,
Ani ładu ani brzegu,
Gdzie go marzeń prądy rwaly,
Gdzie go cuda spotkać miały
Szczęśliwości i swobody.

Bywaj zdrowy wieku młody!
Już po złudzie — po piosence —
Rzeczywistość to nie wieńce,
Co je młoda myśl uplata
I uczucia wstęgą spaja
I nadzieje w nie ustraja!

I cóż dalej? uśmiech krótki
Na ponurą postać świata,
No powiedle róż kielichy
Rzucił drzący śród westchnienia;
W końcu jeszcze jak sieroty
Oddalone gdzieś pamiątki.
Dziś bez barwy, bez imienia
Do samotnej piersi tuli,
Łza nad niemi się rozczuli,
Wspomni matki swej pieszczoty
I dziecinne błogie wiosny
I rodzinny domek cichy;
A lza drugą żegna szczątki
Lutni, co mu dawniej brzmiała
I kołka życia smutki

I szerzyła śpiew radośny.
O krzyż czarny dziś rozbita
Dźwięk ostatni tam wydała —
Dźwięk to żalu — skargi zwroty!
Długo — długo się kołysze,
Coraz dalej z echem płynie
Żal i skarga — lecz gdzie ginie?
I kto skargi tej wysłucha
Kto o szczęście tam zapyta,
Kto złagodzi mekę ducha?!
Cicho! zda się w odległości
Słuchem duszy czy tęsknoty
Tam od krzyża — głos ten słyszę:

„Jeżeli czysty Ty na duszy,
Gdy sumienia głos spokojny
Błogo w sereu Ci zagości
A zwątpienie go nie skruszy,
Gdyś w miłości Ty był hojny,
Bratu podał zbawczą rękę,
A sierocie łzę ocierał,
Kochał lud — i kraj Twój biedny

Twoją krwią i myślą wspierał,
Jeżeli czysty przetrwał mekę,
Gdyś nie upadł wśród ciemności
A upadłym budził ducha,
Nie był pyszny i powszedni
Czynem krzywdę, nie iza mierzył,
W Boga, naród Twój uwierzył,
I ci wszyscy, co dziś biedni
Gdy już duchem będą jedni,
Silni w wierze i miłości
Jako jednej matki dzieci:
To krzyż łaską znów zaświeci,
To Bóg skargi Twej wysłucha,
Ujrzyś Naród Twój znów cały
Silny — wielki i wspański,
Ujrzyś lud Twój odrodzony,
W łzach i we krwi oczyszczony —
Miniesz krzyż! Za krzyża cieniem
Dłuższa wiosna — trwalsze kwiaty
Lepsza dola — lepsze światy
Zgodne z pierwszych dni marzeniem,
Zgodne z pierwszym snem młodości!“

Maksymilian Zdulski.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Uczty i wieczory. — Kadryl niepomysłny. — P. Bouche. — Rozmowa tajemna. — Opowiadania.

Mówiłem już w poprzednich rozdziałach, że pora morskich kąpiei ściagała całe niemal obywatelstwo naszych prowincji do Odessy. W r. 1822 zjazd był liczniejszy niż kiedykolwiek, nie tyle z powodu sanitarnej potrzeby, ile dla tego, że spekulacja zbożowa rozwinęła w tym roku nadzwyczajną czynność eksportacyjną ze wszystkich punktów Wołynia, Podola i Ukrainy, najobficiej uposażonych rolniczym plonem. Nieprzerwanymi rzędy maż czumackich ciągnęła pańska i szlachecka krescencja do odesskiego portu. Właściciele tych kosztownych darów Cerery, chcąc połączyć korzyść z przyjemnością, ruszyli także gromadnie w ślad za swoim towarem, czyli, mówiąc właściwiej, wyprzedzili go i to w takim licznym kompucie, że odesskie domy zajezdne i prywatne kwatery ledwie ich pomieścić mogły. Ożyło miasto gwarem, ruchem i brzękiem złota. Strumieniem Paktołu potoczyły się metaliczne zasoby naszego obywatelstwa po handlowych składach, magazynach, hotelach i cukierniach. Ludzie familijni wyprawiali uczty, spacer, tak nazwane tanecujące herbaty, na których bywało wszystko, oprócz herbaty. Tańczono zwykle pod fortepian, na którym drżącemu sobie szczęśliwie po spirytualnym traktamencie najęty partacz (*tapeur*) wystukiwał narkotyczne jakieś anglezy, mazury i walce. Skapo więc były uposażone te baliki ze strony muzyki. Za to przyjęcie nie zostawiało nic do żądania, bo oprócz ptasiego mleka, jak to mówią, wszystkiego dostać można było w Odessie. Ryby morskie (kamбулы, kefale itd.) kraby, raki, konchy rozmaite (*midye*) tak zwane *frutti di mare*, dostarczały wybornych materyaków gastronomicznych, których dopełnieniem były najprzedniejsze owoce południa, oraz łakocie zamorskie Grecji, Małej Azji, Egiptu, jako to: słodka chałwa, rodzaj jabłecznej pasty, fruktowe rachatluchum z migdałowym farszem,

geste, jak patoka, cukrowe szербety, ostro szczypiące podniebienie zaprawą imbiru powszechnie używaną na Wschodzie. Winogrona szły z południowej Tauridy i z Konstantynopola, chociaż i koło Odessy były obszerne winnej latorośli plantacje. Kawony i melony pielegnowały zamiejskie basztany i kraj czerkieski przysyłał. Co do win, żadna stolica lepszych nie posiadała, albowiem były autentycznym płodem właściwych sobie klimatów, żadną fabrykacją niedotkniętym. Południowa Francja, Hiszpania, Italia i wyspy greckiego archipelagu dostarczyły Odessie najprzedniejsze próby swego winnego przemysłu, suto opłacane przez smakoszów naszych prowincji, którzy się swego staropolskiego wegra i pocziwej domowej machy zaparli, by innoziemnymi nektary Bachusowi wyprawiać libacje. Było więc czem nakarmić gościa i napoić, a że z łaski pocziwej pszeniczki miało się grosza podostatkiem, nie nie stawało na zawadzie uprzejmej skłonności dostojnych promotorów uczty i wieczorów.

Na jednym z tych wieczorów u Kiryakowych zagajono kadryl dziecinny pod przewodnictwem p. Bouche, dręczyciela nóg odesskich i wielkiego mistrza pięciu pozycji klasycznych tańca. Córeczka gospodarstwa Nadińka, *) siedmioletnia dziewczynka była moją damą. Nazwiska reszty smarkaczów i klapiterek (jak nazywała dziewczynki starszka, pani Chłopicka, **) matka dyktatora) wyszły mi z pamięci. Chociaż byłem ruchawy, jak żywe srebro, a zręczny, jak goryl, (którego na prze-

*) Obecnie 57-letnia księżna Kantakuzen, zamieszkała w Petersburgu.

**) Mieszkała w Żorniszczach, miasteczku Strutyńskich, na Ukrainie leżącym. Kiedym ją odwiedzał po r. 1831 była już prawie stuletnia starszka ale zdrowa i krzepka. Jadła na śniadanie krawiec kiełbas z czosnkiem, albo salaterkę bigosu. Ot, prawdziwa matrona dawnego etatu! — Synowie — zwykła mówić — to błogosławieństwo boskie, a córki, to mój panie, klapiturki i nic więcej.“

kor Darwinowi nie uznaje za swego protoplastę) nie lubiłem wcale chorograficznych popisów i miałem europejską Terpsichorę za najnieznośniejszą babę w świecie (bo grecka tylko była boginią). Ciąg szpryngle, koperczaki, susy szalone, w to mi graj bywało! Dzielnie i ochoczo przejawiała się żywotność moja w tych ruchach swobodnych żadnym kodeksem nieokreślonych, a więc mniej niewolniczych jak owe nudne menuety, gawoty, matredury, którym niejednokrotnie z całej duszy złorzeczyłem. Złość mię tedy porwała wielka gdy mi kazano figurować w kadrylu i to właśnie w chwili najgorszego mego usposobienia dla tego rodzaju popisu. Wymówić się jednak nie było sposobu. Monsieur Bouche wziął skrzypce i dalej rzepolić figurę po figurze, odznaczając rozmiary taktów zabawnym podrygiem całego ciała. Komiczną tę gimnastykę przerywał on czasami powietrznymi szpryngle od pary do pary z pochwałą, zachęceniem lub ostrą nagana, a że tańczyłem niechętnie i niebacznie, przyciał mi tak brutalnie, że zakłapałem cały oburzeniem. Robiliśmy właśnie wtedy *dos-à-dos*, jedną z najgłupszych figur ówczesnego kadryla, bo kawaler i dama zamiast patrzeć sobie w oczy powinni byli karambolować z sobą ledziutko odwrotną stroną postaci, jakby rankorem ku sobie zniechęceni. Był to moment wymagający całej bacności kawalera, żeby się z należną grzecznością wywiązać z trudnego zadania. Leaz że mię szalony gniew opanował i gniew ten od osoby zuchwałego Francuza roztoczyłem na wszystkich, nie będąc więc panem ruchów moich, jak nie byłem panem mojego porywu, takim karambolem ugodziłem moją partnerkę tańca, że aż się biedaczka oparła twarzą o posadzkę nie bez wielkiego szwanku nosa, z którego gdyby z deszczowej rynwy krew obfitym źródłem pociekła. Gwar i tumult powstał ztąd wielki. Matrony pospieszyły na pomoc Nadińki, podniosły ją i uprowadziły głośno płaczącą z salonu. Ja dostałem porządna burę, która, ma się rozumieć, nie przyczyniła się wcale do uspokojenia gniewnego usposobienia mej duszy.

Przerwany katastrofą kadryl nie dał się już związać na nowo. Monsieur Bouche wściekał się ze złości. Kompania pozbawiona widowiska, co bacność jej skupiało, podzieliła się na grona rozpierzchłe, izolowane od siebie. Co do mnie wybiegłem na galerie obszerna, różnobarwnie oszkloną, której całą długość zajmowały pomarańcze, cytryny i rododendrony w kadiach, tudzież wielka mnogość wazonowych, egzotycznych kwiatów, malowniczo ustawionych dokoła marmurowych bóstw greckiego politeizmu. Były tam małe sofki w cieniowych altankach z bluszczu, a w każdej z tych zielonych altanek, gustownie przyozdobionych kwieciami, lampa alabastrowa na brązowych łańcuszkach zawieszona, rozlewała matowe światło, pełne poetycznej tajemniczości. Usiadłszy na jednej z sofek, pod lekkim sklepieniem bluszczowych splotów, pograżyłem się w tęsknej dumie o przygodach wieczora tego, ubolewając serdecznie nad niemożnością odplacenia panu Bouche za obelgę, jaką mi wyrządził. O! dałbym jemu, gdybym mógł!

Kiedym tak snuł nie czarną mściwych pomysłów i pragnień, weszło dwóch ichmościów poważnego wieku, wojskowy i cywilny, których nie zdarzyło mi się widzieć dotąd. Obejrzałem spojrzeniem przestrzeni galerii, a nie widząc nikogo (bom siedział cicho w mojej kryjówce) pomieścili się w trzeciej z rzędu altance odemnie i zaczęli z sobą dyalog półgłosny mało mię obchodzący zrazu, lecz który mię później wielce zainteresował. Dyalog ów tem bardziej wraził się w pamięci mojej, nie tylko treścią, ale nawet samem jej oddaniem, że był prologiem wielkiego politycznego dramatu, co się wkrótce potem

na scenie prowincyi naszych przedemną odgrywał. Wtedy to dopiero pojąłem ja całe znaczenie tajemniczego *a parte* tych dwóch ichmościów, spółników, jak się pokazało, groźnego stowarzyszenia, pod którego ciosem zadrzał aż do najgłębszych podwalin swoich tron carów Rosyi w dniu 14/26 Grudnia 1825 roku.

Czem się zaczął ów dyalog, niewiem, bo nie będąc ciekawym z natury i brzydząc się podsłuchiowaniem, nie zwracałem na to uwagi. Bacność moja wywołała dopiero słowa następne, głośniejsze i z uniesieniem wyrzeczone:

Pierwszy głos:

— Wyciąć wszystkich co do nogi!

Aha! pomyślałem sobie—czy to czasem nie rozbójnicy przebrani? Wszak Cartouche, Rinaldo, Fra-Diavolo często się wneśli do uczciwych domów, pod firmą uczciwych ludzi. Kogoż to chcą oni wyciąć co do nogi? Czy nie nas czasem?

Myśli te przemknęły we mnie lotem elektrycznej iskry i uprzedziły następną odpowiedź drugiego jego-mości:

Drugi głos:

— Nie! precz z taką myślą! Krwi nam nie trzeba. Kto mordem zaczyna, sam swój łeb katowi podstawi. Mówiłem już Wołchońskiemu *) i Orłowi, **) że na to nigdy nie przystanę.

Pierwszy głos:

— A oni co na to?

Drugi głos:

— Orłów przyznał mi słusność, a Wołchoński zagorzałec pozostał przy swoim.

Pierwszy głos:

— Miał rację!

Drugi głos:

— Nietylko nie miał jej i mieć nigdy nie będzie, ale się postawił w niekorzystnym świetle w obec większości członków, realnie kochających ojczyznę i pojmujących jej żywotne potrzeby. Licharew, **) Juszniewski, ***) Murawiew ****) powiedzieli mi otwarcie na ostatnim posiedzeniu w..... **) że jeżeli myśl wytopienia dynastyi nie będzie zaniechana, wyjdą na zawsze z towarzystwa.

Pierwszy głos:

— Zapomnieli, widzę, że wystąpić z towarzystwa znaczy wstąpić do mogiły. Dziwię się, że im nie przyszedł na myśl ten artykuł związkowego kodeksu.

Drugi głos:

— Ich to rzecz a nie moja. To wam tylko powtórzę, że $\frac{3}{4}$ spiskowych sprzeciwiają się użyciu środków morderczych. Nie idzie im o to, żeby dynastya nie żyła, jeno żeby nie była. Pryncyp, **) idea,

*) Książę Sergiej, generał-major w korpusie Rajewskiego i zięć tego generała. Skazany w r. 1826 na 15 lat katorgi w kopalniach. Cnotliwa żona towarzyszyła mu i pozostała przy nim do dnia uwolnienia zupełnego. Widziałem go w r. 1824 w Humanu u Aleksandra Potockiego.

**) Michał—szef sztabu Rajewskiego i jego zięć. Umarł w Moskwie przed 6ciu laty, powszechnie żalowany.

**) Pułkownik jeneralnego sztabu drugiej armii hr. Wittgensteina.

**) Generał-prowiantmeister drugiej armii.

**) Murawiew-apostoł, dowódca pułku liniowego piechoty. Powstał w r. 1825 i wystąpił w pole, lecz rozbity pod Wasylkowem (w pobliżu Kijowa) przez generała Rotta, wpadł w ręce rządu i był powieszony.

**) Zapomniałem nazwisko miejsca.

**) Dotąd brzmią w uszach moich te słowa: „Le principe, l'idée, et la forme, constituent la question principale de notre activité à nous.“ Było to po francusku, ale nie zupełnie. Niezgrabna fraza!

forma, oto są główne zadania działalności naszej. Żeby zastąpić pryncyp absolutny liberalnym, monarchiczny republikańskim, nie mamy potrzeby udawać się do noża, albo do topora. Potęga idei wystarczy. Wyprze denastję z kraju — i rzecz będzie skończona.

Pierwszy głos:

— Lud nie podziela tej idei.

Drugi głos:

— Przyjmie ją, gdy się skuteczni.

Pierwszy głos:

— A szlachta nasza?

Drugi głos:

— Niedba kto i jak rządzi? byle jej nie przeszkadzać dusić chłopów i ze skóry obdzierać. Wreszcie wszystkie niemal znakomitsze rody Rosyji mają swoich przedstawicieli pomiędzy nami, jak na przykład Trubeccy, Golicynowie, Wołchońscy, Naryszkiny, Czernyszewy, Orłowy, nie mówiąc o innych. Nie mamy się tedy czego lękać ze strony szlachty. Z duchowieństwem trudniejsza sprawa.

Pierwszy głos:

— A wojsko?

Drugi głos:

— Cała prawie 2ga armia pozyskana dla sprawy. Oprócz naczelnego wodza *) i jego szefa sztabu *) wszyscy prawie młodszy generałowie i pułkownicy wiedzą o związku albo doń należą. Nad gwardyą pracujemy gorliwie...

Nadejście księżny Sutzo, panny de Maubeuge, pani Turkullowej i pani Korsi w asystencji pp. De Ribasa, Toma, Desmeth i Silvo przerwało rozmowę spiskowych. Przybyła kompania zajęła rogową altanę i cała galeria napełniła się wesołym jej rozchorem. Co do mnie, do tyła spoważniałem pod wpływem dialogu spiskowych, że zlorzeczyłem z duszy nowym

*) Hr. Sayn-Wittgenstein-Berleburg, późniejszy książę i feldmarszałek. Ożeniony z Polką, Snarską.

*) Generał Paweł Kisselów, późniejszy hrabia, minister, a ostatecznie poseł przy Napoleonie III. Ożeniony z Zofią Potocką, córką targowiczanina Szczęsnego.

Głębia morza i głębia powietrza,

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Rozum ludzki podjął się jeszcze trudniejszego zadania: mierzyć głębię nierównie większego, bo całą kulę ziemi ogarniającego oceanu powietrznego. Torricelli obalając w r. 1643 przesąd scholastyczny o „wstręcie przyrody do próżni“, wykazał za pomocą prostego przyrządu, barometrem zwanego, że powietrze ciśnieniem swem utrzymuje w równowadze słupkę rtęci *) w rurce barometru do 28 cali sięgający, z czego łatwo wyprowadzić ten wniosek, iż cała atmosfera wywiera na powierzchnię ziemi takie ciśnienie, jakieby wywierało morze całą ziemię oblewając i wszędzie do 32 stóp głębokie. Gdyby więc powietrze stało się nagle cieczą tak gęstą jak woda i zlało swe nurty z oceanem, wezbranie tegoż zatopiłoby tylko nisko położone pomorza.

Do jakiejże wysokości sięga atmosfera? Odpowiedź na to pytanie byłaby łatwą, gdyby powietrze w całej

*) rtęć — żywe srebro.

przybyłszy za niewczesne ich w to miejsce nadejście. Nie pojmowałem ja; ma się rozumieć, całej doniosłości tego, co się o moje uszy obilo — a jeżeli i pojmowałem to mgliście, słabo, bez należytego wyobrażenia o rzeczy, które tyle tylko oceniłem, że była groźna dla kogoś, bo się wielu przeciw niemu sprzymierzyło. Utwierdziwszy tedy w pamięci każde niemal słowo podsłuchanego dialogu, zająłem się gorliwie roztrząsaniem onych. Rezultatem tego umysłowego procesu, było stanowcze postanowienie uszanowania cudzej tajemnicy w najsurowszym znaczeniu wyrazu, a że z natury nie byłem wielomównym, nie wielkiego to mię trudu kosztowało. Pierwszy raz dopiero sprzeniewierzam się ninie tej mojej determinacji i to po 50ciu latach, kiedy się namietności ulotniły, a ludzi i dzieła ich czasów powódź głęboka zalała. W dalszych rozdziałach tego pamiętnika pojawiają się zdarzenia w powyższem zwierzeniu się spiskowych zapowiedziane. Po cichym prologu galerii rozgłośna akcja olbrzymiego dramatu, mającego całe państwo za *proscenium*, a którego strasliwym epilogiem będą łzy, krew, rozpacz i konanie! Nie będę wyprzedzał biegu lat! Nim przyjdzie właściwa kolej rzeczzonego przedmiotu, dokonczę pobieżnie lekką akwarellę tego pamiętnego dla mnie wieczoru.

Mówiłem już, że nadejście kilku osób urwało mi dialog spiskowych. Wkrótce opuścili galerię. Nowe wtargnęły grona. Zaludniły się altanki. Zabrzmiała toniczna skala głosów od barytonu do soprano, a chichotania — szczebiotania dziewczęcego odezwało się co nie miara. Były tam wszystkie rodzaje kobiecej natury, wszystkie okazy jej zewnętrznego wdzięku. Cudnie wydawały się one w perłowym świetle lamp alabastrowych, w oprawie zielonych festonów bluszczu i barwistych splotów balsamicznego kwiecia. Feeryczność jakaś z miejsca i chwili płynąca, wionęła na te świeże oblicza urokiem młodości jaśniejącej, to różane jak Aurora, to blade jak Psyche, to wesołe jak Atalanta, to melancholiczne jak Niobe, to miłośnicie rozkoszne jak Afrodyta, a wszystkie zharmonizowane z sobą spółnictwem wdzięku, gdyby tony jednego akordu odrębne dźwiękiem a jednak zgodne. (C. d. n.)

swej rozciągłości jednakową miało gęstość, gdyby zatem jedna stopa sześcienna powietrza każdej warstwy tyle ważyła, co przy powierzchni morza, gdzie jej ciężar okazuje się 770 razy mniejszym od ciężaru wody zajmującej także jedną stopę sześcienną. Pomnożywszy 770 przez 32 otrzymalibyśmy 24640 stóp na wysokość atmosfery.

Że to obliczenie jest mylne, nietrudno wyrozumieć. Powietrze jest płynem bardzo sprężystym, a że ulega sile ciężkości, każda przeto warstwa uciska wszystkie dolne, na których się wspiera, zgęszcza je i czyni tem samem gatunkowo cięższymi. Ztąd wynika, że większej odległości od powierzchni ziemi odpowiada mniejsza gęstość powietrza. Rozumowanie to sprawdził pierwszy Pascal doświadczeniem. Namówił on swego szwagra Perriér, aby się udał z barometrem na górę Puy de Dôme przy Clermont. I cóż się okazało? Oto na wysokości 1477 metrów słupkę rtęci w barometrze mierzył 278", podczas gdy w jardin des minimes w Clermont sięgał do

315'5"; różnica wynosiła zatem 3 cale i 1½ linii. Ponieważ ciężar równych objętości powietrza zawisł od siły ciężkości, od ciepłoty, a nadto i od ilości przymieszanej pary wodnej, te zaś trzy wpływy zmieniają się z odległością od powierzchni morza, wszystkie więc poszukiwania dotychczasowe fizyków nie doprowadziły jeszcze do określenia prawa, według którego dałoby się dokładnie oznaczyć ciśnienie powietrza w każdej wysokości.

Dwojakim sposobem usiłuje człowiek wznieść się w odległe sfery powietrza: wspina się na wysokie góry, lub też balonem wzbija się po nad obłoki. Z niewysłowionym móżolem pokonywując tysiączne trudności, narażając się na niebezpieczeństwa, których samo wspomnienie grozą przejmując, wdiera się przyrodnik na najwyższe turnie o stromych ścianach, poszarpanych szczytach, brodzi po zdradliwych śniegach i lodowicach, zwiesza się po nad strasznymi przepaściami i tam z zachwytem przejmując wrażenia wspaniałego widoku i tam robi naukowe obserwacje i doświadczenia. Ale już na wznieśieniu dwunastu do trzynastu tysięcy stóp poczuwa, że go siły opuszczają. Wzmagać się znużenie zniewala go co chwila wypoczywać; w Andach powyżej 16000 stóp nawet góral niezwykłą odznaczający się krzepkością zaledwie ujdzie dziesięć kroków w górę, a już siada by wytechnąć i nabrać sił i odwagi do dalszych trudów. Coraz cięższym staje się oddech, coraz przedszem tętno, coraz gwałtowniejszem bicie serca. Bouguer zwiedzając Kordyliery koło Quito doznał kilku krwiotoków, chociaż nie był wyżej nad 15000 stóp, a Humboldt na górze Pichincha w wysokości 13800 stóp dostał nagle zawrotu głowy i omdlawszy leżał bezprzytomny, dopóki go towarzysze nie odszukali. Na górze Antisana wśród warstwy powietrza daleko więcej rozrzedzonej, bo 17200 stóp od poziomu morza odległej, nie uległ tym dolegliwościom, za to jego młody towarzysz Don Carlos Montufar ucierpiał wiele, bo mu się z warg nabrzękłych krew puściła. I zwierzęta doznają podobnych przykrości. Na wyżynie Quito najmocniejsze konie i muły nie chcą iść wyżej nad 13000 stóp; parszając i sapiąc wierzgają i dęba stają; nie pomogą bodźce ostróg ani uderzenia biczem. Tylko lama, ten nadobny i wesoly wielbłąd gór peruańskich, dźwiga mierny ładunek spinając się zrecznie po stromych zboczach aż do granicy śniegowej, 14400 stóp paryskich. Wyżej jednak nie da się poprowadzić i opiera się uparcie tak łagodnym jak i dotkliwym pobudkom.

Boussingault ukończywszy pomiary i inne fizyczne badania w Andach w r. 1831, wypoczywał w mieście Riobambie, położonem na płaskowzgórzu, z kądem roztwiera

się widok na malownicze a dzikie obrazy Andów. Nasycający oko wspaniałą panoramą, nie mógł się dłużej opierać pokusie zwiedzenia tych okolic i postanowił zrobić wycieczkę na górę Chimborazo. Pułkownik angielski Hall, który mu już w kilku innych wyprawach towarzyszył i tą razą przyłączył się do niego.

W Grudniu 1831 r. nasi podróżni odprawiają nocleg na folwarku znajdującym się na rzeczonej górze, 3800 metrów nad powierzchnią morza. 15go zrana puszcza ją się w drogę w towarzystwie przewodnika krajowca. Potok przeciskający się pomiędzy prostopadłymi ścianami trachitowemi doprowadził ich aż na wzniesienie równające się wysokości góry Mont-Blanc. Tu osłonili sobie twarz kitajką, aby ją ochronić od nieprzyjemnych skutków, jakie sprawiają promienie słoneczne odbite od lodu działające na naskórnice. Wkrótce wypadało im wydostać się na grzbiecie, po którym mogliby byli dojść do skały trachitowej niepokrytej lodem. Brną więc w śniegu, w którym częstokroć po pas zapadają, torując sobie drogę ku upatrzonemu miejscu. Niestety, śnieg sypki rozsypa się pod nogami, już blisko na cztery stopy głęboki — daremne wysilenia — z tej strony dalsze wdzieranie się na górę niemożliwe. Muszą powracać. Na osamotnionym wysoku trachitowym, wystającym po nad zasypany śniegowe, zażywają spoczynku o wpół do drugiej po południu; ciepłota wynosi 3 stopnie powyżej zera; barometr okazuje wzniesienie 5115 metrów. Boussingault napełnił flaszkę śniegiem, w celu robienia poszukiwań fizycznych. O szóstej wieczorem przybyli na folwark. Pogoda sprzyjała w ciągu dnia, tem bardziej więc ubolewali nad tem, że nie mogli z niej korzystać. Nie zrażeni niepowodzeniem postanawiają następnego dnia z innej strony jakkolwiek więcej spadziście wdziarać się na górę.

O siódmej zrana mała karawana ruszyła z miejsca; o dziewiątej pokrzepiła się śniadaniem w wysokości 4335 metrów na olbrzymiej bryle trachitowej, którą Boussingault nazwał „kamieniem uczyty“ *pedron del Almuerso*. Gdy postąpili 600 metrów wyżej, muły odmówiły posłuszeństwa, a więc pieszo dążą do góry po spadzistej skarpie. Około południa przechodzą po tak ślizkim lodzie, że siekierą muszą wyrywać wcięcia, aby się noga utrzymała. Powietrze już znacznie rozrzedzone, co sześć lub ośm kroków stają, aby wytechnąć. Boussingault kroczy naprzód, śladem jego postępują Hall i przewodnik, zachowując milczenie, już to dla tego, że mówienie samo na takich wyżynach utrudza, już z przezorności, by mocniejszym wstrząśnieniem powietrza nie wzbudzić okropnej lawiny.

(C. d. n.)

MĘCZENNICZY FANTAZJI,

NOVELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Jak członkowie wielkiej duchowej rodziny, podobni sobie ludzie prędko się łączą z sobą, kiedy inni całe życie razem przeżywszy na jego końcu o krok niepostąpili w zbliżeniu się ku sobie i wzajemnem uzupełnieniu — ale z człowiekiem, który czuje, że mnie zgaduje i dopełnia, dalej prowadzi i oświeca, z tem mi od początku tak jasno i dobrze, z tym się znam tak dawno, jak gdybym z nim na szkolnej ławie siadywał. Każda wiara w przy-

szłość zagrobową, czy przeszłość zaświatową musi się łączyć z temi ogniwami pokrewieństw duchowych. Poczęły się tedy dnie, tygodnie, miesiące, o których sniło się tylko czasem olimpijskim, w mytach uznanych za czarodziejskie; taką mythologię przeszłości własnej ma serce każdego człowieka, tylko nie każde jej świadome. Pewien harmonijny nastrój oczarował wzajemnie ich umysły — błękitny, jak to bezchmurne, helikońskie niebo w dzień słoneczny,

kiedy ptak na szczytach lodowych siadający roztacza wielkie skrzydła i płynie w błękit, odetchnąć przeczystym eterem!...

Zwawe, rozpuszczone chłopcy, jak ugłaskane żrebce złagodniały widocznie pod ręką nowego mistrza, który umiał ich rozciekawiając nauczać, a rozweselając spowadzać. Zuzanna zawsze troskliwa o dzieci, ale od tysiąca mozolnych trosk wolna, na nowo rzuciła się swoim muzom w objęcia, cokolwiek oświeca czy ozdabia życie, to umiała sobie przyswoić. Śpiew i muzyka, skarby literatury, obcowanie z ludźmi nauki zapełniały jej wolne godziny, niezbyt liczne, bo zajęcie domowe wiele ich pochłaniały, a Gontard w rzeczach domu, zwłaszcza wygodę życia był nieubłagany Likurgiem!... O resztę się nie troszczył i szeroką wolność zostawiał Zuzannie, której znał zacność i podstawy etyki na Grekach wyrozumowanej, tylko siostrę swoją Almę porucił jej szczególnej opiece i cierpiał nawet, że się kształciła pod bokiem nowej Korynny, jak żonę nazywał, że Alma od niej biorąc światło, wiedzę, wdzięk i ogładę, nawet niekiedy z nią współzawodniczyła, uzupełniając się cudownie w tej szlachetnej współwalce. Stosunek zaś obojga małżonków był raczej przyjacielski, niż z miłości pochodzący. Obyczajem patrycyuszów zamożnych, dziećmi jeszcze poswatani, przywykli mimowolnie do siebie, o silniejszym uczuciu mowy tam nie było. Gontard wcześniej dojrzał i zmęźniał w podróżach, zwłaszcza w nowym świecie, zmysł jego praktyczny utwierdził się powodzeniem w przedsiębiorstwach dokonanych, ztąd ta jego pewność i samowiedza w działaniu, odznaczająca ludzi wielkich miast przemysłowych. Zuzanna zaś tragiczną historią młodości dojrzała na słońcu cierpienia, ztąd ten pogląd poważny na świat, który wsparty wykształceniem i rozwinięciem się uczuć szlachetnych, stanowił tak dobitną protestację przeciw wszelkiemu fałszowi i obłudzie stosunków codziennych. Ojciec jej zrujnowany w skutek niedoszłych spekulacji był sobie życie odebrał, matka zaś, ofiara konwencyonalnych wymogów, złamana nie przeżyła tego ciosu, zostawiając w nędzy prawie czworo drobnych sierót.

W otchłani tego dramatu pogrzebała Zuzanna pierwszą młodość swoją — ale bynajmniej nie swoje iluzje. Opiece zacnych krewnych i stosunkom pomyślnym zawdzięczały sieroty sposobność kształcenia się.

Umysł Zuzanny wykarmiony na wzorach klasycznych, wzmocniony rozważaniem igrzysk losu, jakich była świadkiem, pełny udziału we wulkanicznych zapasach stulecia, a zawsze płonący ku wszystkiemu co piękne, wielkie i zacne, stał się istnym geniuszem miasta, w którym przebywała, gwiazdą kół towarzyskich, szlachetnych, kiedy druga część towarzystwa przeciw niej wciąż fermentowała, demonem ją mieniła, który czasem niespodzianie ale śmiało i stanowczo bronił prawdy i niewinności przeciw egoizmowi i potwarzy. Tak stała wśród towarzyskiej walki nieprzystępna a zawiść budząca, ścigana a ubóstwiana, jedni jej schlebiali inni bluźnili, bóstwo dla mężczyzn, Gorgona dla kobiet, ale nikomu nieobojętna, wszystkich interesująca i tworząca stroniectwa na korzyść lub niekorzyść swoją. Ideał „pięknego życia“, do którego dążyła jej nieznużona dusza, starając się sprostać klasycznym wzorom, usiłowała rozprzestrzenić wpływem swoim na małe otaczające ją koło, niezrażona szyderstwem i złośliwością, które za to mściły się na niej; osiągała mimo nich cel swój przeprowadzenia małej socjalnej reformy w otaczającym ją kółku. Wszelka mierność, banalność, naukowa błaga i przesada wygnane były z jej salonu. Z muzyki tylko najlepsze

utwory słyszeć tam można było, śpiew i gra nie jako zabawa tam figurowały, ale jako odtworzenie wielkich kompozytów, równie spotkać się tam było można z wesołymi epigramatami, nie dla krotchwili, ale dla wykazania w formie humorystycznej spaczonych stron społeczeństwa. Dla czcnych machinalnych wirtuozów niebywało tam miejsca, bo przedewszystkiem o treść rzeczy pytano. Malarze i rzeźbiarze ubiegali się o ozdobienie jej estetycznego salonu, co było pierwszą rekomendacją. Najwspanialej jednak odznaczoną tam była literatura poetyczna. Don Carlos Schyllera i Tasso Goetego tu były czytane nim je scena poznała. Wilhelm Humboldt, Hegel i Szelling przebywali tam często, a Winkelmann niejedną swą rozdział o sztuce tam dawał do wygłoszenia.

Że takie wpływy zwyciężyły stanowczo wszelką zawiść ludzi wielkich z małego miasteczka, a tem jado-witszymi ich czyniły, w tem nie dziwnego; niejedną bowiem fałszywą ambicję tam pominięto, niejedną pretensję niezadowolniono, a podnoszono za to nieraz umyślnie zapoznane osobistości lub ludzi o skromnych stanowiskach, których mimo zacności i zasługi nie dopuszczano do złotych salonów patrycyuszowskich. Niejedną też próżność zgrzytnęła zębami. Oczywiście osoba taką woła i stanowczością się odznaczająca, słynąca taką pobłażliwością i wolnością myśli, jak pani Gontard, niejednemu młokosowi Frankfurckiemu mogła mimowolnie oszołomić głowę i przesadzone wzbudzić nadzieje, o które tak łatwo nam mężczyznom pełnym najlepszego mniemania o naszej świetności osobistej, gotowym do uwierzenia, żeśmy jedną frazą lub tańcem walca już zbałamucili serce kobiety. Postępowanie męża spekulanta, niezdolnego ocenić przymiotów umysłowych żony i obojętnego prawie dla niej nie mało do tego się przyczyniało.

Miedzy wielbicielami Zuzanny, ubiegającymi się naprzód o jej względy, słynął Dr. Orbes, przyjaciel i codzienny towarzysz Gontarda, geolog wsławiony nauką, który mimo niepowabnej powierzchowności, retorycznym darem i bystrości wielkiej zasobami, przemocą prawie jednał sobie umysły całego towarzystwa. Był on aniołem czy szatanem Gontarda, którym władał, ba! trząśł zupełnie podług upodobania — jedynym człowiekiem uznanym za dość praktycznego, aby go mógł opanować. Wpływu swego jednak na złe dotąd nigdy nie użył. Zuzanna ceniła go jako powagę naukową, nieraz zasięgała jego zdania, bardzo trzeźwego, wolnego od wszelkich iluzji, nawet w rzeczach poczucia piękności i fantazyi nieraz go się radziła, co skróciło długą drogę szukania, badania lub zawodu. On imponował jej rezultatami swego działania, ona zaś nie dała mu odetchnąć pod natłokiem rozlicznych kwestyi życia umysłowego. Szermy duchowe, walka idei była między niemi nieustająca, im silniejsza, tem dowcipniej i ciekawiej prowadzona, im sporniejsza, tem obfitsza w cały arsenał wiedzy i dowcipu; tak Gontard nieraz porwany tą żywą rozmową, nie przeczuwał jak żywotny udział w niej bierze jego zapalony przyjaciel.

Orbes z cichą zawiścią widział, jak nowy nauczyciel zwolna wstępował w te koła towarzyskie, jak je podbił tylko instynktu sympatycznego ponętą, jak apollinowy namaszczeniec, coraz bardziej się wsławiający poeta, klient Schyllera, przyjaciel Szellinga i Hegla coraz silniej zwracał na siebie uwagę, jak Zuzanna całą przyjaźń i podziwienie swoje poczęła mu okazywać jawnie, w obec wszystkich, i jak sam Gontard, uradowany pomyślnym rozwojem synów, zaczął się o nim z niezwykajnem ciepłem odzywać.

KRONIKA ARTYSTYCZNA WIEDENSKA,

przez

N I N O.

Któryś z młodszych poetów wyrzekł, że czy niebo się chmurzy nad nami czy jaśniej, piękność do końca z nami pozostanie. Pod wpływem tej myśli, jakkolwiek wymówiliśmy się brakiem czasu, chwytamy raz jeszcze pióro dla skreślenia kilku miłych i parę ujemnych pojawów w życiu umysłowym a zwłaszcza artystycznym Lutego i Marca. Tem chętniej, że co w codziennym życiu na pozór jaśniej, często wewnątrz się chmurzy — i odwrotnie.

Wystawa tegoroczna obrazów w Künstlerhausie, ściągnęła tłumy ciekawych i wielbicieli w swoim rodzaju... Przedmiotem tej pielgrzymki nie był Ploermel, ale za to Venus Anadyomene, olejny obraz Schüssera z Rzymu. Wyobraża on Venus rodzącą się z fal morza i wzlatającą w sferę niebieskie. Tą razą Bogini piękności była uzurpatorką, a w przyczynach jej tryumfu poszukać można tych samych pierwiastków, co w tryumfie Heleny Offenbacha. Zarzut zaś główny — że nie jest Boginią, tą córą morza i błękitu, ale kobietą, strasznie zwykłą, apateoż raczej Fryny niż Afrodyty, i zażywną baletnicą a nie zidealizowaniem jednego z najpotężniejszych uczuć ludzkości. Zarzut drugi, że jest naśladowaniem, parodią raczej Tryumfu Galatei Rafaela; draperya, amorki, a zwłaszcza trytony obejmujące nimfy, są echem tego arcydzieła.

Przelećmy błyskawicą, genezę Afrodyty, dla stwierdzenia tego. — Ktokolwiek miał szczęście spędzenia choć kilku godzin w Rzymskiej willi Farnesina, której całe ściany pokryte arcydziełami Rafaela, Sodomy, Sebastjana del Piombo, od bajki o Psysze, aż do Głowy Olbrzyma, którą raz długim czekaniem na swego ucznia Sebastjana w lunecie wyrysował Michał Anioł, ten już nigdy niezapomni i boskiego w olimpijskim znaczeniu Tryumfu Galatei Rafaela — ten zmierzy jeden ze szczytów jego natchnienia, w którym jako malarz chrześcijański chciał współzawodniczyć z fantazją starożytną. Czegoś tak ujętego harmonijnie i poetycznie, jak Tryumf Galatei nie przedko wieki wydadzą; jest ona jakby uzmysłowieniem plastycznej harmonii Helleńskiej, gracy i harmonii, wielkiego allegro, symfonicznie zakłętę w tym kształcie. Venus, *) ta jak ją Safo zwała „przebiegła Zeusa córa“, wzniosła się tu na odmetach rozigranych fal, z konchy złotej powstaje dziewczę, śmiejąca, owiana mgłami poranku i purpurą wiejące szaty, co na ciała jej puchy rzuca blaski różowe.... Z oczyma płaczącymi, sokołim wyrazem, ognia i zdziwienia pełnym, nozdrzami nieco wzdętymi i kącikami ust drżącymi namiętnie, cała jest uśmiechem zdziwienia na to — co ujrziała... Stojąca w litych muszli, pani Olimpu godna walki z Minerwą, patrzy w nieskończoność błękitu i lejcamy wolnemi kieruje dwóch muszlę ciągnących swawolników delfinów, którym mały amor za forysia służy. Rydwan wśród stojącej otoczony grupami trytonów, z których jeden brązowym ramieniem, jak wąż, obrzucił kibić uśmiechniętej ku niemu nimfy, drugi unosi już swą piękność chmurowłosą po pianach fal zazdrośnych w postaci centaury, i w gwałtownym galopie uderza złotemi kopyty w zwierciadło rozbryzniętych brylantów i pereł — dwaj inni na muszlach tęczy grają chwałę bogini, a w górze trzech figlarnych Erosików ćwiczy się w strzelaniu z łuków, czwarty z snopkiem strzał gotowych, chmurami otulony przygląda się temu z wyższą nad wiek dziecinny zadumą.

W tem wszystkim taki ruch, taki szal, gra namiętności i motywów — a przy tem tryumf zdrowego uczucia młodzieńczego, tchnącego rytmem serdecznym a wcale nie zmysłowym po dzisiejszemu... Największą oryginalnością, że Venus Rafaela jest skromną. Snać że uczeń Perugina, autor Pescatory czy Skrzyпка młodzieńczego, czuł instynktem filozoficznym świat pogański, a wiedział także że niewinność wstydić się niemoże. Venus zaś Schüssera odznacza się cynizmem i pojmuje tylko strony materyalne życia. I w bajce Psyche Venus Rafaela powożącą gołębiami podobnym odznacza się wyrazem. Równie idealnie, choć po swojemu pojął Venus swoją w muszli stojącą Sandro Botticelli; o ileż inaczej z ziemskim wdziękiem Corregio w grupie z Erosem i Merkurym (Londyn) i Caracci, rozbrajającą Heraklesa (Florenca)! Venus Palmy (Vechio) w Dreźnie, prawdziwa to bogini a arcymistrzem jej typu był Tycjan... Liczne są jego Afrodyty, a najwspanialsze dwie pomieścił w muzeum Madryckim, powiedzmy nawiasem, najbogatszym w świecie. Rzeźba nam dała wiele z jej kształtów. Trzy najnieśmiertelniejsze, z których każdy wymagałby sądu Paryskiego i trzech jabłek miasto jednego — to Venus Kapitolńska w Rzymie, Medycejska w Florencji i Milos w Paryżu. Dodałibyśmy neapolitańską Kallipige i Capuana; wreszcie słynna Venus Canowy, do której pozować nie wahała się Księżna Borghese, siostra Napoleona I. W malarstwie nowoczesnym zużyto tematów bez końca na oddanie mytu Veneri i zawsze utknięto na zmysłowości, jak Schüsser. Zwycięzko wyszedł jeden Cabanel, i jego Venus roztwierająca na świat dziecinne, wilgotne oczy o cudnych rżesach i wyrazie figlarnym, pozostanie piękną przy każdej innej. Materyalizm tegoczesny Schüssera jest tej samej, choć niższej genezy co materyalizm fatalny Makarta, sławionego wirtuoza kolorów, a istnego Büchnera malarstwa. Makart jest mistrzem formy, gdybyż ona miała ducha!.. Oby nie został świadectwem tego, czem ona jest bez ducha. Mówiliśmy gdzie indziej o stanowisku Makarta (w „Tygodniku“ Drezdeńskim), tu natrąca nam się tylko słynna a nieco gburowata polemika wywołana artykułem Lübkiego p. t. „Makart a Wagner“, parallela subtelna między muzyką a malarstwem, dowodząca, że jeśli Lübke muzykę Wagnera paralelizuje z malarstwem Makarta, niema wyobrażenia o muzyce. Niemówiąc o Wagnerze jako człowieku, niepodobna muzyce jego zarzucić materyalizmu — owszem tak przedmiot, treść jak i sama muzyka jego oper są najidealniejszymi utworami na jakie zdobyła się sztuka. Scena miłości i pieśń łabędzia w Lohengrinie, chór pielgrzymów i Abendstern w Tannhäuserze, równie Rienzi, Hollender, Tristan i Hans Sachs, pozostaną na zawsze idealnymi utworami, na wskroś szlachetnymi; że muzyka w gracie Veneri i scena w stanowiącej furi pokusy odznacza się plastyką zmysłową, jest zupełnie loiczem i inaczej chybiłoby celu. Zmysłowość ta rozpetanego piekła poprzedza tylko chór pielgrzymów i trumnie Elizy a zwycięstwo umierającego barda. Po odesłaniu Kartonu Kaulbacha z Wiednia, „Inkwizycja“, reszta obrazów nie odznacza się pierwszorzędnością, na wystawach miast naszych spotykamy lepsze płótna jak tu w tym roku niefortunnym, malarze nasi jeśli dalej tak naprzód iść będą, nie tylko współzawodniczyć ale wyprzedzić Niemców powinni.

W repertuarzu Burgu poważne dramaty znowu zjawiać się poczynają. Wymieniamy ich trzy: „Ma-

*) Galatea.

deleine Morel“ Mosenthala, „Nowy Achilles“ Weilena, i „Fedra“ Racina w przekładzie Schillera. Pierwsza jest motywem dawno użytym od czasów „Dame aux camelias“ — niemniej, użytym bardzo misternie i świadomie. Jestto psychiczny rozwój kobiety szlachetnej, padającej ofiarą spalonego społeczeństwa. Cechą dodatnią dramatu pozostanie, że autor czyni go drogą poprawy i w jej to ogniu uświęcona bohaterka, odwetem zawistnego losu, staje na wysokim szczeblu społecznym, oddając rękę mężczyźnie, który spotkawszy ją poczuł że w niej spią zarody szlachetne, których nikt nieobudził — mężczyzna ten nie waha się oddać jej ręki nawet z utratą markizatu, który odbiera rodzina. Autor więc ma tę zaletę, że jak widzimy nie fabrykuje moralnej benzyny plamistej od płam samych, lecz z cieniów wskazuje punkt wyjścia ku światłu. Panna Wolter całą grę uczuć i kolizyj oddała ze spokojem i mistrzostwem świadomym tej bolesnej roli.

„Nowy Achilles“ Weilena, jeden z tych nowoczesnych dramatów, które z liczego koła dramaturgów niemieckich wyrastają pełne rutyny, ba! nawet przerutynowane, pełne wszelkich warunków estetycznych i przyzwoitości (gdzieżby który mógł być nieprzyzwoitym jak Shakespeare!) a jednak niewiedzieć czemu niemogą swobodnie stanąć przy Schillerze, jak gdyby w ich misternej budowie kości pacierzowej o lwim szpiku brakło.

Nowy Achilles, to hrabia Montecuculi, na dworze Krystyny Szwedkiej w Rzymie. Królowa—ascetyczna artystka i artystyczna ascetka, Dulcynea ciemnej pamięci Monaldeskiego, sentymentalizuje pod koniec z Montecuculim, który zagniewany na cesarza siedzi w Rzymie gdy Turcy pustoszą Węgry i grożą Wiedniowi. Jak wyrwać bohatera z łona nieczynności i pozyskać dla Niemiec, oto cała intryga. Walka między Krystyną, duchowieństwem chcącym go pozyskać dla Rzymu, — a sprawą rycerstwa, które go powołuje. Montecuculi występuje jako bohater szlachetny, syt życia i złamany boleścią — obraz

Salwatora Rosy przedstawiający scenę przyjaźni z życia Achillesa, roznieca gasnące iskry jego zapалу, reszty dokonuje kochanka pierwszej młodości hrabiego i wysłanie młodego rycerstwa. W godzinie stanowczej wspaniała Krystyna rzeka się wszystkiego, Montecuculi wraca do armii. Scena w której rozacza plan teoretyczny swej kampanii, jak gdyby tam był i już walczył, jest porywająca i przepyszna (Sonnenthal). Wiele, bardzo wiele ma ta sztuka przymiotów, główną jej zaletą szlachetność, będąca filarem i osią całej budowy. Grzechem pierwotnym dramatu — nieprawdopodobieństwo... Jakże hrabia całymi dniami mógł niepoznać dawnej kochanki za pazia przebranej, jakim sposobem dumna Krystyna znana z gwałtowności tak łatwo broń składa, jak wreszcie człowieka ograniczonego, takie „torso głupstwa“, jakim oddany jest ambasador austriacki w Rzymie, mogli obdarzyć tak ważną posadą? Tych błędów logicznych nie zatrze i świetny talent Weilena. Laroche rolę ambasadora, a Meixner exbandyty szpiega — pobożnisia, oddali z mistrzostwem godnym koryfeuszów burżuazji. Ci dwaj starej grą swoją pogruchotali wszystko w koło siebie, nawet Lewiński znany z pilności swych ról, grający wybornie Rzymskiego dyplomata, zbladł przy nich jak księżyc przy słońcu. Pani Gabillon nie zbyt historycznie pojęła Krystynę, bardziej na Karola XIIgo niż na Gustaw Adolfa córkę stworzoną, znaną z gwałtowności i instynktów artystycznych... epoki Berniniego... za mało miała powagi i majestatu, trochę nadto fertała się po scenie. Myliłby się, kto by mniemał, że w Burżuazji dziś doskonale — niemniej pani Gabillon jest mistrzem w komediach Shakespeara, a nawet w tragicznej roli Mosenthala Bianki Capelli (Izabella Orsini). Dekoracje celowały zręcznością — komnata Krystyny w Rzymie, którą widziałem zachowaną wiernie w pałacu Corsini, do szczegółów dobrze była oddana.

(Dok. n.)

PRZEGŁĄD TEATRALNY.

(Klaudya, szkic dramatyczny w dwóch aktach Władysława hr. Koziebrodzkiego, przedstawiony na scenie lwowskiej po raz pierwszy d. 20 b. m.)

P. Koziebrodzki zajmuje w rzędzie naszych pisarzy dramatycznych stanowisko pod pewnym względem wyłączone. Nie zakreśla on sobie prawie nigdy szerszych zadań — niepragnie rozwiązywać w komedii rozległych zagadnień społecznych, a w dramacie zadowala się lekkim naszkicowaniem namiętności, któraby mogła być potężną, gdyby jej malarz nadał śmielsze kształty. A tak musi się ściągać na łożu Prokrusta — bo autor nie chce, aby się stała dramatem, pozwalając jej zapełnić zaledwo wązkie ramy szkicu. W komedii taka metoda kompozycji ma wiele za sobą — jeżeli się uda jakiś ulotny moment, jakąś drobnostką życia zatrzymać w biegu i podpatrzyć w niej drżenie serca albo grunt myśli, to można doprawdy na tle takim o wielkiej prostocie a bez żadnych pretensyj, osnuć rzecz miłą, subtelną, budzącą do zastanowienia. A o to właśnie tu chodzi. *Nulla dies sine linea* — każda chwila, każde położenie życia może być przedmiotem rozmyślań płodnych dla umysłu. Należy mieć tylko dar spostrzegawczy, delikatny, a w każdym zjawisku rwącego strumyka, zwanego życiem, odgrzebać można nietylko myśli szczytne, ale i świetlaną smugę poezji. Taki przebieg jej lekki na jałowym gruncie prozy orzeźwia wtedy jak kropla rosy... Tu właśnie zasługa p. K., że umie codziennemu życiu, niemającemu pozorów głębszego piękna, odkładać jego drobne tajemnice idealne, jego wdzięk ukryty, jego ciche przejawy duszy... Piętnem całej nowoczesnej

kompozycji dramatycznej jest realizm dochodzący do cynizmu... Jest tu pewna jednostronność, bo ci pp. Dumas i Sardou jednoczą w pojęciu realizmu także pojęcie brzydoty moralnej... To co brzydkie, to jest u nich realne, to brane z życia; co ma woń cnoty, uważa się za echo ekliwicznego romantyzmu. A wszakże cnota i piękno mają swą prawdę w życiu, mają swój byt, tak dobrze jak podłość i cynizm. Otóż w tem widzimy właśnie zaślugę p. K., że takimi drobnostkami scenicznymi wskazuje z lekka, jako to życie realne, powszednie także ma swoje strony czyste, iście poetyczne, że można być malarzem-realistą, a przecież realną chwilę oddać w obrazku tkliwym i powabnym. Takie obrazki mogą być skuteczną reakcją przeciw apostołstwu brzydoty, nazywającemu to, co wstrętne, realnem... Pojmując tak życie, można się też utrzymać łatwiej na szerszym, ludzkim horyzoncie — odmalowawszy duszę w jej kształtach wiernych, chociaż rysami drobnymi, można ze swą komedijką przetrawić głębiej na scenie, aniżeli pisać całe dramaty, osnute na tle, które jest faktycznym obrazem stosunków na dziś, ale kłamstwem i anachronizmem na jutro... Czy Ponsardowska „Giełda“ długo będzie rozumiana na scenie?... Jużć tak długo, jak będzie modą grać w giełdę... Ale też jeżeli jutro nastąpi kryzys finansowy a ekonomiści potęgą do reszty te instytucje i wynajdy nowe, skuteczniejszy sposób umieszczania kapitałów, jeżeli giełda stanie się sfinksem, co będzie z komedijką p. Ponsard? Taki los bywa dzieł sztuki nie osnutych na motywach wieczystych ludzkiej duszy!

Dramacik „Klaudia“ jest jednym z takich utworów, które unosząc się po nad realizm i interesa chwili bieżącej, podają nam znowu jeden rys więcej z tego obrazu, co się maluje pędzlem natury przez szereg wieków, a który zwie się ludzką namiętnością. Pozytywizm estetyczny idący w ślad za pozytywizmem naukowym możeby odmówił uprawnienia takim motywom, dowiódłszy raz, że uczucie i namiętność są objawami czysto fizycznymi a zatem w sztuce nie dramatycznymi — ale kto wierzy do czasu, że w tej „zalotnicy wieków“ — w sereu, gdy kocha, przebiegają też jakieś prądy duchowe i sympatyje nie tylko cielesne, ten pozwoli namiętności grać jeszcze rolę dramatyczną i chętnie posłucha gorącej barkaroli włoskiej, pomiędzy Klaudya i Klemensem. Treść tego dramaciku nie jest bez wątpienia ani świeża, ani oryginalna, ale przynajmniej w rozwiązaniu okazującą rzecz w nowem świetle. Cóż w tem nowego, że stary, zacny Rodrygo kocha do szału kwitnącą, chciwą rozkoszy żonę i że gdy wyjechał z domu za kupieckimi interesami, przybłąkał się pod okno tęsknej włoszki powabny trubadur z piosenką miłości, że się dwa serca spłynęły w jedno, że popełniono występki i zdradę?... To wszystko stare... ha! prawda, ale bo i natura ludzka stara, a czyż znajdziecie co nowszego nad nią?... Nie w tem leży jednak nowy pomysł dramatu... Nasuwa się pytanie, jak rozwiązać tę splątana kolizję, gdy Rodrygo wraca — i to w dniu zamierzonej ucieczki żony z kochankiem — gdy zdradę Klaudyi odkrywa?... Pojedynek! takby zakończył rzecz całą Victorien Sardou, zastrzelenie się Rodryga, takby załatwił trudność Al. Dumas syn... P. K. wynalazł jednak zakończenie inne, szlachetniejsze, mniej dyssonansów obudzające w duszy. Klaudyi samej, postawionej między nieugiętą pożądlivością kochanka, a rozpaczą męża — pęka serce... Niespodzianka to poetyczna i wstrząsająca...

Zresztą dramacik, o którym mówię, ma wiele usterek w kompozycji, jakkolwiek żadnych w charakterystyce. Głównym błędem jest to wahanie się poety między formą dramatyczną a zachciankami lirycznymi, wizerającymi z każdego mono- i dyalogu. Wytwarza się z tych za częstych przymieszek sentymentalność kolorytu, rozwadniająca siłę chwil dramatycznych i tamująca szybszy bieg działania. Tem bardziej że te ekstazy liryczne nie rzucają najczęściej nawet światła na charaktery osób, będąc najczęściej kontemplacją natury, lub rzewnem rozpamiętywaniem przebytych rozkoszy... Prawdziwie dramatyczną cechą ma tylko liryzm pierwszej sceny aktu Igo, będącej brylancikiem poetycznym najczystszej wody —

zresztą trudno się uchronić od pewnego wrażenia cikliowości, jak znowu scena, kiedy Klaudia wije się w rozpacz pomiędzy Rodrygiem i Klemensem, wydaje się nazbyt przedłużoną i bierze zbyt wiele na tortury nerwy widzów... Najmniej już jednak da się usprawiedliwić wprowadzenie na scenę karczemnego duetu Filipa z Katarzyną. P. K. czuł potrzebę wprowadzenia humorystycznego żywiołu w sztukę dla rozpogodzenia nazbyt posępnej akcji, ale nie splątawszy żadnym węzłem logicznym obu tych grup postaci (Klaudia, Rodrygo, Klemens z jednej — Filip i Katarzyna z drugiej) rozdzielił interes wrażenia bez celu i bez skutku. Używał takich efektów komicznych Szekspir dla ilustrowania głównej akcji, ale w „Klaudyi“ stosunek cały tak jasny, że ilustracji nie było potrzeba, a rzecz przydługa znacznieby się skróciła. Sztuka na tem by zyskała, bo tak, jak jest, razi ubóstwem dramatyczności. Podnosimy jednak zawsze nakreślenie charakterów pełne i wydatne, pomysł, chociaż w całości nie świeży, ale z nowego punktu widzenia rzecz rozwiązujący, wreszcie poetyczność obrazu.

Wykonanie dramatu nie mogło nas zadowolić. Pani German (Klaudia) wystudowała charakter jej sumiennie, przedstawiła go rozumnie, a w kilku epizodach zdołała nawet znaleźć trafny wyraz dla gry wewnętrznej, ale że nie umiała powlec całej roli namiętno-poetycznym kolo-rytem z pod nieba włoskiego, że scen rozpacz nie uwydatniła głębszym wyrazem, któryby porywał i o rzeczywistym wstrząśnieniu całej duszy artystki świadczył, że nie nadała szlachetności tragicznym pozom, ani przezroczyści wyrażeniu, to po części jej winą, po większej zaś części błędem reżyserji, która czasem wpada na pomysły dawania ról takich pani German, artystce zawsze pracowitej i zawsze cennej, ale na innem polu. P. Królikowski (Rodrygo) oddał chwilę rozpacz ze szczególnym wyrazem, ilekroć dawał się porwać całkowicie własnej naturze, gdzie zaś hamował jej bezpośrednie wy-nurzenie się sztuką, tam raził clikwym patosem i próżną deklamacją. P. Szymański (Klemens) ubarwił w samą miarę pierwsze ustępy roli kolorytem rzewno-namiętnym, ale zato w scenach aktu IIgo z Rodrygiem grał za szorstko tak w ruchach, jak we wyrazie głosu. Nadanie wybuchom gniewu tak pospolitej szorstkości jest zadaniem dla artysty nazbyt łatwem, a więc i płytkiem. Pani Linkowska (Katarzyna) i p. Dębicki (Filip) grali z pełną naturalności werwą; pierwszej radzilibyśmy tylko ucharakteryzować się mniej powabnie i grę mimiczną uczynić więcej urozmaiconą...
Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. Właśnie rozpoczął się druk dzieła Dr. Klemensa Hankiewicza „Etyka filozoficzna.“ Dzieło to opracowane na podstawie systemu Libelta traktuje o filozofii woli czyli t. z. filozofii moralnej i ma posłużyć niejako za dopełnienie badań Libelta, który dotąd nie opracował działu etyki filozoficznej.

— Paul Janet. *Histoire de la science politique dans ses rapports avec la morale.* 2de ed. Paris. Ladrance. 1872. Myślą przewodnią autora jest wyrozumowana i głęboka wiara w postępowy rozwój zasad słusznych i cywilizacyjnych pośród nieskończonej różnorodności błędnych systemów. Czytanie tej książki może dać chwilę błędnego uspokojenia w obec wstrząsających dzisiejsze umysły starć na polu myśli i faktów. (Rev. d. deux m.)

HISTORIA. *Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane przez Teodora Morawskiego.* Tom V. Stanisław August. Poznań. Żupański. 1872. Ponieważ rys dziejów porozbiorowych rozpoczął to wydawnictwo, przeto tom powyższy jest zeń ostatnim.

TEATR. Z wielu stron nas pytają, jakie zajmujemy stanowisko w obec nowej Dyrekcji. Pytanie dziwne. Jakież inne, nad

stanowisko słusznych wymagań i sprawiedliwego uznania... Raczej należy pytać, czy nas cokolwiek uprawnia do nadziei, że teatr będzie dobrym? Otóż sądzimy, że pod pewnym względem dziś już odpowiedzieć należy: tak. Faktem, ulegającym dyskusji, jest dopiero skład grona artystycznego, który teraz (mówimy to śmiało!) po zaangażowaniu pana K. Królikowskiego i panny Deryng wszęch-stronnie już zadowala. Jeżeli tylko kierunek będzie świadomy zadań sztuki, natenczas teatr lwowski niedługo już podniesie się do wyżyny prawdziwie artystycznej. Dlatego otworzymy w *Swiecie* stałą rubrykę sprawozdań teatralnych.

— Na konkursie dramatycznym krakowskim przyznano pierwszą nagrodę (400 złr.) komedji J. Narzyskiego: „Pozytywni.“ drugą (200 złr.) wodwilowi Aleks. Ładnowskiego: „Skarby i upiory“ (3cia część: „Krakowiaków i Górali“).

ROZMAITOSCI. Bawił we Lwowie przez kilka dni ks. kan. Dominik Sztulc z Pragi, słynny tłumacz na język czeski „Pana Tadeusza“ i „Konrada Wallenroda.“ Deputacja towarzyszt akademickich złożyła mu hołd w imieniu młodzieży lwowskiej.